

Klara

Komary, ciche skrzypce krwiożerców. Na brzegu lampki z winem chwieje się cykada. Nocny przeciąg zdmuchuje z żaluzji kurz. Taniec złotej meduzy w lampce wina.

Myła staruszkę w wanience dla niemowląt, podpartą na gumowej poduszce. Namydloną rękawicą szusowała po jej zwiędłym ciele, śmigła za uszami, pod pachami, delikatnie głaskała szczupłe plecy i miękki brzuch, fartuszek okrywający nogi, cienkie kości udowe w nogawkach obwisłej skóry, palce u nóg – mocno zaciśnięte szponiaste kwiaty mordownika, stopy potłaskotane przez życie.

Po kąpeli szybko ją wycierała, bo staruszka krzyczała ze złości. Wbrew jej woli, przytrzymując za nadgarstki, przebierała w ciepłą nocną koszulę i zanosila na rękach do łóżka – staruszka była bardzo wychudzona. Mieszkanie małe – z łazienki do łóżka tylko kilka kroków. Kiedy Klara ją przenosiła, staruszka już nie krzyczała, tylko ze złością kąsała rękę Klary powyżej łokcia.

Babciu starowinko, bardzo za tobą tęsknię!

Wrona na dachu w czerwony wieczór – wyraźna, czarna klamka w drzwiach do nieba.

Ja również za tobą tęsknię. Wszystkie najlepsze na świecie staruszki bardzo cię kochają, Klaro, lecz dawno temu wysłiznęłyśmy ci się z rąk, namydlone, wymyte, bieluśkie, niemal przezroczyste, ułotne, pachnące faworkami.

Idź, Klaro, mój kotku, mój wróbelku, jestem bardzo, bardzo zmęczona.

Wilgotny, szeroki ślad wije się do okna w dachu, pod ośliży gotębnik, gdzie gruchają chmury, grrr, grrr, grrr – grzmi i błyska, lecz przypuśćmy, że bardzo daleko.

Klara patrzy w lustro i na grzebień. Przecież Klara nigdy się nie czesze! Czy madame nie wie o Klarze najważniejszej rzeczy – że Klara nigdy się nie czesze. Po co w ogóle spać całą noc w gorących parzących niewygodnych metalowych termolokach, jeśli później trzeba wszystko rozczesać.

Klara rzuca grzebień w kąt,
nie wie, co ma zrobić, co ma zrobić – kupiła właśnie trzydzieści cztery kilogramy jabłek Sky Fresh za dziewięćdziesiąt euro, starczą na pół roku, jest ich cała klatka i jeszcze trochę innych skrzyżowanych z gruszką Bonkreta Williamsa.

„Co robisz?” – pyta madame Petczewa.

„Rysuję, szkicuję, będę pisać europowieść, olbrzymie ożywione monstrum, które będzie przechadzać się po pokoju. I czasem zaglądam na fejsa, a co?”

Na Facebooku ma siedmiuset znajomych i stu dwóch bliskich znajomych, praktycznie braci. Poza tym Klara ma Karla, który jest Japończykiem Belgiem Francuzem Latynosem Facundo Armando? Ma jacht, dwa domy na wsi, konie, dzieci – nie, dzieci nie ma, przeszkadzałyby mu cieszyć się życiem, zwiedzać świat. Podróżują po świecie, jedzą w michelinach, kupują brylanty, dolcegabbany, futra, rajstopy za dziewięćdziesiąt euro – skąd mają na to pieniądze? Karl sprzedaje kokainę (poszukać, ile kosztowała, kiedy miał mniej więcej dwadzieścia lat) i opyla drożej (poszukać, jak to się robi), potem Karl trafia za kratki, siedzi we włoskim więzieniu, Klara do niego jeździ... I co dalej? Jeździ i jeździ, aż ten jej piękny i tak wiernie kochany Karl znika pod kołami, rozjeżdża go na miazgę, wysadza w powietrze, zostaje drobny mak z wielkiego pięknego Fernando Armando!

„To bez sensu – mówi Klara – tak nie można, co będę robić w tej książce bez Karla, nie potrafię bez niego żyć, teraz ani nigdy, od razu bym umarła i rozbryzgała się w drobny mak”.

Skup się, Klaro, bo straszny zły mafioso za chwilę naciśnie dzwonek do drzwi.
Uciekaj!

„Czego boisz się tak naprawdę, Klaro? Dobrze cię ukryję, wcisnę między ciepłe ubrania” – staruszka głaszcze Klarę po głowie: „Masz tu kostkę z kurczaka, całkiem niedawno oblażał ją sam Yehudi Menuhin”.

„Boję się, bardzo się boję, że zostawiłam gdzieś klucz, nie pamiętam kodu, nie rozumiem chińskiej tamagówki, ale najbardziej – Klara bierze głęboki oddech i wyznaje tej dziwnej mętnej staruszce, groźnej wiedźmie, przerażającej zjawie, która wynurza się z lasu – że się zgubiłam w szczegółach, śmieciach, szkicach, w jakichś niezrozumiale poplątanych korytarzach”.

„Czy mogę – pyta żałośnie Klarusia – zdradzić pani na jej piękne ucho moje największe na świecie marzenie, które wyśniłam sobie we własne urodziny? Rysowałam w tym śnie taką jedną historię, a potem przez cały dzień spacerowałam w tym śnie bardzo bardzo szczęśliwa – to był taki niezwykle sen, że chciałam go zachować tylko dla siebie i nikomu nigdy nie pokazać, ale nie wytrzymałam i wrzuciłam kilka szkiców na fejsa, i komentarze były bardzo pozytywne, od tamtej pory marzy mi się, że narysuję arcydzieło, *bande dessinée*, które ludzie będą oglądać, śmiejąc się i płacząc, a ich okrągłe oczy wypełni najpiękniejszy podziw dla mnie”.

„W tej chwili nie ma już czasu na sny. Weź kostkę z kurczaka i biegnij przez dziki las, póki nie spotkasz Yehudi Menuhina, przekaz mu pozdrowienia od madame Petczewy i oddaj kostkę. Zostało na niej jeszcze trochę mięsa, można jeszcze coś wysać. Lecz jeśli ci się nie chce zarobić na kawałek chleba, wracaj do domu i po prostu powieś się na tych pięknie błyszczących rajstopach za dziewięćdziesiąt euro, bo już znudziło mi się cackać z tobą bez końca. Zobacz, zrobiłam dla ciebie zabawkę, sama, tymi starutkami dłońmi, wyłącznie z resztek, ładna, prawda, weź – to przełyk kurczaka, do środka wrzuciłam trzy ziarenka grochu, zszyłam na końcach i dobrze wysuszyłam, weź tę grzechotkę, i kiedy spotkasz tego straszego mafiosa, potrząśnij nią, odpowiem na wezwanie, tylko zagrzechocz trzy razy” – mówi.

„No, Klaro, słuchaj, co ci opowiadam” – mówi madame Petczewa, stara Bułgarka, milionerka mówiąca po rosyjsku i francusku, i jeszcze w jakimś niezrozumiałym mamrotańskim. Jest bardzo stara, ma dziewięćdziesiąt lat, powieki pomalowane na zielono, lakier na paznokciach u nóg, siedzi w parku i czyta Puszkina.

Klara znalazła tę kochaną władczą staruszkę w parku na ławce.

Kiedy w głębokiej, głębokiej rozpaczycy szła ścieżką przez ten park.

Dziesięć lat wcześniej madame Petczewa straciła przez machinacje syna dom wart miliony i trafiła do domu starców, ale zachowała własną restaurację. Lokalik taki, że mieści się w nim tylko kuchenka i stolik przy kaloryferze, lecz pędzi do niego, gdy tylko przyjedzie do Laeken, gna na łeb na szyję, by jeść z rąk madame Petczewy, głodny Yehudi Menuhin...

Nieee, nie da się tego słuchać. No, no, Yehudi Menuhin pędzi z końca świata, żeby jeść pierożki u madame Petczewy, no, no, wierzę, bo muszę!

Klara wybucha płaczem. Zaraz miną trzy godziny i powoli uniesie do góry biały podbródek, mafioso chwyci ją za włosy i olbrzymim nożem – ciach, ciach – szybko, niegrzecznie, na oczach wszystkich poderżnie Klarze gardło, zaszlachtuje i cała *halal* Klary *haram* krew spłynie mafiosie na buty, gdyż mafioso lubi rzeczy, które dziwnie patrzy.

„Zgroza, moje dziecko, jesteś blada jak płótno, kto cię tak, oddychaj spokojnie, bo się rozlecisz i to tu, w parku, zgroza, Klaro, chodźmy do domu, tylko niech mi pani pomoże wstać. Nie może wszystko być aż tak skomplikowane, Klaro, niech się pani opamięta i opowie mi w końcu”.

„Nie znam języków – płacze Klara – nie miałam dobrych nauczycieli – płacze Klara – nie mam złota ani diamentów, nawet oklepanego Swarovskiego nie dostałam od zapracowanych rodziców, wszyscy znają na wylot moją historię, czy w ogóle można wymyślić jeszcze coś nowego na tym mocno zakręconym świecie z internetem, w którym jest wszystko, nawet psy monstra, olbrzymie dobermany dorastające do sufitu, które zjadają małą, brudną sierotę z lasu, co ja powiem temu mafioso, kiedy zostały mi na wszystko tylko trzy godziny?”

Beczy, maże się Klara, łzy kapią z oczu.

Klara, same z nią kłopoty, skaranie boskie, po co ją braliśmy z tego parku?

„Chodź, opowiem ci piękną historię – mówi madame Petczewa – ja ci opowiadam, a ty znowu nie słuchasz i uciekasz. Dokąd uciekasz, Klaro? Mam dowody, mam *livre d'or* – to złota księga, do której wpisali mi się wszyscy wirtuozi świata: »Pierozki madame Petczewa są bardzo, bardzo smaczne«. Jedz faworki, módl się, żebyśmy ocalały, i kochaj. Dlaczego mi nie wierzysz, Klaro?”

Nie wierzę, bo kłamiesz, bo takie rzeczy
W Prawdziwym Życiu Po Prostu Się Nie Zdarzają
Nigdy, nigdy, nigdy!

Widziałam na własne oczy – w poradnikach wszystkich wirtuozów świata jest napisane czarno na białym:

nevermorenevermorenevermore!

„Arcydzieła, moja kochana babuleńko – niech mi pani wybaczy – nie siedzą na ławce w parku. Niech mi pani wybaczy, ponieważ szanuję siwy włos na pani głowie, ale sama wszystko bardzo dobrze wiem i sama wszystko bardzo dobrze widzę, i od dawna noszę je w sobie. A kiedyś usiądę i spiszę moją europowieść, powieść drogi, powieść o bałtyckim łańcuchu, nową, jeszcze piękniejszą *Lalagę*, najwspanialsze arcydzieło, mam je zresztą gdzieś w domu, drobno posiekane i dobrze schłodzone, naprawdę wiem – mówi Klara – wiem, że pewnego dnia je znajdę, przypomnę sobie, gdzie to wszystko posiadałam,

poutykałam, i stanie się TO niezwykle efektownie. Jestem bardzo dobrze przygotowana, miałam najlepszych nauczycieli, tylko bardzo się boję”.

„Zaraz zadzwoni straszny mafioso, a ja, biedna sierota z domu dziecka, jestem niewypłacalna, i przelejemy swoją krew, i wyprujemy z siebie wszystkie flaki, będziemy rzygać krwią, zrobimy wszystko, co nam każą, chwycimy się wszystkiego, co nam wpadnie w ręce, bo nie chcemy być dłużej biednymi niewykształconymi sierotami ze wsi, tak bardzo, bardzo, bardzo chcę pojechać ze swoim arcydziełem na festiwal w Angoulême, POKAZAĆ je w telewizji, że praktycznie, jeśli będzie trzeba, sfotografuję się w stringach pośród zbóż nad przepaścią, lecz praktycznie nie zrobię tego, bo praktycznie już za trzy godziny zje mnie ten straszny mafioso, bo tak mam w genach – kropka” – mówi mocnym, drżącym głosem autorka komiksów Klara w chmurze zwichrzonych włosów.

Zgroza, co ja robię w tym niewiarygodnym, strasznym, dzikim lesie ze staruchą na grzbiecie? Kiedy zdążyła się mnie ucześcić i skąd tu się w ogóle wzięła?!!!

„Ponieważ tego się nie da powtórzyć, a te pani trzy słowa to zwykłe disco polo i Coelho!” – mówi Klara, wojownicza, gotowa na wszystko bohaterka komiksów.

Lecz jak drży, jak się cała trzęsie, ta biedna sierota z domu dziecka.

(„Skóra i kości, widocznie staruszka całe dzieciństwo tułała się po polach bitew, przy mierając głodem, i zbyt długo głodowała – myśli cicho Klarusia. – Dlaczego cały czas podtyka mi pod nos miseczkę z krwią? Boję się tej śmiertelnie wygłodzonej staruszki z pól bitewnych, bo takie mogą pożerać żywe dzieci albo podpalać w łódeczkach, wędzić w dymie, dusić nieowłosionymi, mądrymi, pełnymi starczych płam rękami, mogą pożerać żywcem gdzieś na ściętym pniu w dzikim lesie – tak po prostu, bez powodu, bez przystawek, obrusa i świec – boję się tej pomyłonej miłej staruszki z wielkiego dzikiego lasu, z wysokich gór, o mój Boże, przecież ona może przyczołgać się za mną z Ardenów do Podbrzezia? Wszystkie gazety i internet pełne są podobnych mrozących krew w żyłach historii”).

„Nie rozumiem cię, Klaro, nie mówisz wprost i zadzierasz nosa – stwierdza ze smutkiem madame Petczewa. – Zilustrowałabyś moją prawdziwą historię, narysowała normalnie, wyraźnie, mam nawet zdjęcia, spójrz – widzisz? O! Tutaj obejmują się Coelho i Menuhin, o! – Menuhin i ja, madame Petczewa, o, proszę – madame Petczewa i ty, Klara. Siedzisz w mojej restauracji i jesz z ulubionego talerza Menuhina, a tutaj ja – kucharka, tłumaczka, szpieg, straszny mafioso, nie uciekniesz przede mną, mam wszystkie twoje pieniądze, siedzimy na jednym taborecie spętane tą samą liną –

CZYŻBYŚ ZAPOMNIAŁA?” – ryczy przerażająca smoczyca Petczewa.

„Nie chcę opowiadać bajek, chcę narysować wielki komiks, *bande dessinée, ligne claire*, coś takiego, żeby eksplodowało i rozbrygało się na wszystkie strony – chce powiedzieć Klara, lecz nie może mówić – bo bardzo bardzo boli ją gardło.

Dobrze, już dobrze, żeby się pani tak nie bała, narysuję pani tę bajkę.
Straszną i krwawą bajkę nie dla dzieci o

Klarze Naali z Maarianhaminy

Klara ma Karla, a Karl ma Klarę. Karl kupił Karli korale, klarnet i futro.

„A mnie? – zapytała zrozpaczona Klara – Nie dostanę nawet oklepanego Swarovskiego? Przecież byłam tu pierwsza, już na samym początku” – wścieka się zrozpaczona Klara.

Biedna sierota z domu dziecka wyszła na ludzi – czy tak, Klaro?

Dom dziecka był, ale nie na stałe, od czasu do czasu. Kiedy mama zniknęła na dłużej, biegała za swoimi sprawami, sobie wiadomymi drogami, czterej bracia również się ulatniali. Najmłodszą Klarę zabierano do internatu przy szkole specjalnej. W okolicy nie było domu dziecka, dlatego w internacie mieszkali również światlejsi podopieczni. Dzieci ze specjalnej łatwo było na mieście rozpoznać – dziewczyny w marmurkowych dzinsach i błyszczących kurtkach z gnieczonego materiału, wszystkie identycznie uczesane – z kitką na czubku głowy. Te kitki dobijały Klarę. Bez kitki: „Co se kurwa myślisz, zasrańcu jeden”. Z kitką w normalnej szkole po drugiej stronie ulicy: „Ty, miss ze specjalnej, niedorozwinięta”. Kryć się. Kryć się.

Uciekać.

Dokąd uciekać, Klaro?

Do babci.

Do jakiej babci? Jaką jeszcze babcię wymyślisz, Klaro, upośledzony zasrańcu? Nie masz tu żadnej babci, matka przywozła cię z Łotwy, twoi bracia mają ojców, którzy wążają się gdzieś po okolicy, jeśli akurat nie siedzą, ale ty, Klaro, nie masz ojca.

Babcia.

Ta miła starsza pani z domu nad stawami? Długie, siwe włosy zwinięte w koczek, uboga, schludna i pełna godności? Klara trafiła do niej, gdy kiedyś oddzieliła się od wycieczki, staruszka poczęstowała ją ogórkami z miodem, dała drobne na autobus. Wieczorem następnego dnia wychowawczyni była zielona ze złości – noc w karcerze, czarne pudło izolatki, z którego nie wydostaje się żaden dźwięk – można wyć ze strachu: nikt nie usłysz.

Babcia.

Ta dziwna wiedźma spod mostu? Klara odwiedzała ją czasem – tak sobie, lubiła jej koty, watahy ciepłych przymilnych kotów. Starucha wołała na nich „moi chłopcy” i całą jałmużnę wyżebraną w ciągu dnia wydawała na karmę. W jej norze mieszkali też prawdziwi chłopcy. „Ech, Cyganięta!” – tłumaczyła Klarze. W dzień chłopców nie było,

w dzień rozpierzchali się za swoimi sprawami. Klara nocowała u niej tylko raz. Tylko tę jedną noc tuliła się pod ciężkimi paltami do chudych pleców staruchy, i tylko wtedy, zasypiając, widziała w ciemności płonące ludzkie i kocie oczy – języczki ognia, cykanie zapalniczek, usypiający odór.

Skąd przybiegłaś do nory, co się wydarzyło tego wieczora?

Dlaczego sąd o to pyta? To, co się wydarzyło przed Karlem, nie ma związku ze sprawą.

I ty, i Karl naopowiadaliście tu już tyle bajek, tyle historii i w różnych wersjach – no, Klaro!

Oczywiście.

„Milczenie nie świadczy o pani niewinności” – mówi sędzina.

„Nic nie zrobiłam, nic nie zrobiłam, to wszystko Karl”.

„Och, doprawdy?! Lepiej opowiedz bajeczkę o tym, jak straszny mafioso przyszedł do szkoły i ni z tego, ni z owego wywłócił cię na zewnątrz”.

MÓWI ZE ZŁOŚCIĄ SĘDZINA.

„To wszystko Karl, nie mam z tym nic wspólnego, kiedy go pojmaliście, siedziałam w Ardenach, w wynajętym bungalowu, jadłam faworki, madame Petczewa może poświadczyć, faworki były tak mocno posypane cukrem pudrem, że nie było ich widać na białym talerzu, to znaczy, że nic tam nie było, jak nic nie widać, to znaczy, że nic nie ma” – broni się Klara.

Sędzina prawie jej wierzy.

„Oj, ale z ciebie gaduła – mówi. – No dobrze, trzy miesiące posiedzisz we Włoszech w więzieniu pośród kobr i mozesz wracać do domu”.

Siedzi Klara Naali z Północy, z Maarianhaminy.

Matka Klary była ładną kobietą, tylko przepracowaną. Dzieci rodziły jej się szybko i lekko, kochała je zrywami, podobnie jak nienawidziła – rano dusiła w objęciach, kołysała na kolanach, wieczorem krzyczała na nie jak opętana.

Była ładna. Jej niebieskie, rozbiegane oczy czasem nieruchomiały, ciemniały, a wtedy stawała się piękna, przerażająco piękna, znikwały wypchane na kolanach dresy i nieśmiertelna żółta kurtka z orłem. Oczy przyćmiewały wszystkie niedoskonałości, ogromne, przepastne oczyska – tylko w nie wskoczyć. I skakali jeden za drugim jak do Wielkiej Błękitnej Dziury.

Oczy matki zmieniały się w ten sposób na widok pięknych przedmiotów.

Piękne rzeczy przybywały do ich domu wraz z pięknymi mężczyznami. Mężczyźni przemijali, piękno zostawało. Mężczyźni uciekali, z trudem przekopując się przez góry piękna, a piękne przedmioty i piękne dzieci zaczynały mamę nużyć i wyfruwają z domu.

Wyjeżdżała przed świtem. Najpierw na motorze, potem przypchała skądś na podwórze używany samochód. Wracła w nocy, po dwóch, trzech dniach.

Krótkie nieobecności matki nie przerażały Klary. Jeśli był w domu chleb, wystarczyło spocić słoninę na skwarki i po głodzie, w kącie kuchni zawsze stało wiadro buraków, a placki ziemniaczane umieli smażyć wszyscy bracia – któryś wcześniej lub później wpa- dał do domu wrzucić coś na ząb.

Matka wracała z pełnymi siatkami, wyciągała je z samochodu i przenosiła do salonu. Dorastająca Klara mogła je sama rozpakowywać i układać w salonie jak jej się podoba, a później także sprzedawać kobietom, które do nich zaglądały.

Mężczyźni już się nie pojawiali. Nigdy. Klara nie pamięta, kiedy nastąpiła zmiana, lecz nastąpiła i tyle – teraz dom pełen był babskiego szwargotu. Ciągnęły do nich całe pielgrzymki, jeśli było po co: miedziane dżezwy, czarny, wydłużający tusz do rzęs, ręczniki frotté, paluszki krabowe, szaliki w jaskrawych kolorach i różowe do bólu T-shirty – wszyst- kich pięknych rzeczy nie sposób wymienić.

Matka uruchomiła wymianę towarów przy granicy z Łotwą i Polską, docierała rów- nież na Białoruś. Klara przygotowywała się do studniówki, kiedy matka odkryła Turcję, a w Turcji wpadł jej w oko pewien Szwed. Wpadł na dobre, matce odechciało się fruwać z kwiatka na kwiatek, piękne rzeczy nie były już taką rzadkością, dlatego szybko wyszła za pracownika *Viking Line* i wyjechała na wyspę zagubioną gdzieś między Finlandią a Szwecją, daleko stąd.

Czyżby się starzała? Palce w pierścionkach, czerwone kudły.

„Poradzicie sobie i beze mnie” – rzuciła na pożegnanie i wyjechała, odleciała, od- płynęła.

Wszystkie bajki o sieroctwie Klary to tylko bajki. Jak jest matka, to ojciec też musiał być. Matka powiedziała, że umarł. Nie powiedziała, że po pijaku uduślił się kaszą. Klara sama to wyniuchwała. Nie powiedziała, że ojca Klary wychowywała kobieta stuknięta. Klara sama ją znalazła. Czy powinna mówić do niej „babciu”?

Kiedy pierwszy raz nie wróciła na noc, matka nawet nie zauważyła, coś gdzieś ko- muś sprzedawała. Klara wyszłochała, wysmarkała w poduszkę tej dziwnej kobiety wszyst- kie łzy, a potem odsypiała długi płacz. Do domu przyszła wieczorem następnego dnia z tornistrem na plecach, jakby nic się nie stało.

Na ścianach święci trzymający swoje serca jak filiżanki z gorącą herbatą, promienie światła i przeszywające ostrza, herbata miłości i swąd smutku, który rani niczym włócznia. Z domu do domu.

„Babciu, opowiedz mi bajkę”.

„Nie znam żadnej bajki”.

„Jak to nie znasz. Jesteś przecież stara, musisz znać”.

Babcia milczy. Długo, długo milczy, potem mokro odkastuje i powoli zaczyna. Klara zamienia się w słuch.

„Pewnego razu... Dawno, dawno temu żyła lwica. Lwica – królowa. Miała... zięcia. Miała zięcia i pewnego dnia zięć przyszedł do lwicy w gości i lwica go zjadła”.

Klara drży w oczekiwaniu, co się wydarzy dalej, lecz babcia milczy.

„To koniec?” – pyta zawiedziona.

„Koniec” – mówi babcia i przewraca się na drugi bok.

Klara ma sen, że jedzie traktorem, kieruje, podskakuje na suchej, wyboistej drodze, w kabinie traktorzysty jest ciasno i gorąco, wszystko się trzęsie, wibruje, wyje, silnik fuka ogłuszającymi dźwiękami, rżęzi, kaszle. Klara przez całą noc kurczowo trzyma kierownicę.

Budzi się z dłońmi zaciśniętymi na pole pałta, którym się przykryła. Starucha obok chrapie jak traktor.

„Babciu, chce mi się jeść, ale to bardzo, bardzo, bardzo, jestem taka głodna, że ciemno mi przed oczami, babciu, babuniu, babusiu, babuńciu moja złota, daj mi jeść!”

„Nie ma nic do jedzenia”.

„Ale przecież dopiero co byłaś w sklepie, dopiero co wróciłaś z pełną siatką, z samego rana, jeszcze spałam, poleciałaś do sklepu, żeby nakarmić swoją matę, zagubioną wnusię, prawda? Prawda, że tak, moja sprytna, szczwana babuniu?”

„Tak, prawda, byłam w spożywczym, wróciłam, idąc powoli pod górkę, z trudem przywlokłam ze spożywczego na tych staruśkich nogach wielką siatkę, to prawda. Ale, Klarusiu, wszyscy na świecie wiedzą, że do spożywczego przywożę tylko kanki z piwem, nic poza tym, w spożywczakach, poza kankami z piwem, nic nie ma! – Łoj, czego cię w tych szkołach uczą, przecież to takie proste rzeczy, wszyscy to wiedzą”.

„Może i wiedzą, ale, babciu, twojej małej, brudnej, przestraszonej dziewczynce nogi z głodu się uginają, zaraz zemdleję, babuniu”.

„Lepiej nie mdlej. Patrz, tam w szafce musi być trochę soli, weź ciupkę, sypnij pod język, nogi od razu się wyprostują, znów będziesz mogła latać, mój ty złoty frędzelnku, moja panno rutko, znów będziesz fruwać po podwórkach. I nasyp sobie z garstkę do kieszeni, żebyś miała co przegryźć w razie czego, moja wnusiu, mój srebrny dzwoneczku. Drugą ciupkę mocno wetrzyj w czubek głowy – tak, żeby aż zabolalo – i nie zemdlejesz, zobaczysz, zaraz ci się zrobi cieplej i lepiej – mówi babunia i przechyla kankę”.

Klara połyka gorzkie łzy, ciupkę soli, jak powiedziała babunia, pod język, ciupkę wciera – i, rzeczywiście, nie mdleje.

Moja sprytna siwa babuniu, biały ptaszku w wiśniowym sadzie. Klara skrobie sól, dębnie w skamieniałej bryle, czubkiem noża wwierca się w tę stono-gorką górę lodową, drąży w niej norę,

pewnego dnia wczesnym rankiem wydrąży korytarz i wypetza z domu babci.

Pierwszy przytułek, przedszkole.

Piramidka z krążków – łabędź – nie wolno. Wystrojone lalki na półkach – nie wolno.

Późny wieczór. Klarze udaje się złożyć zestaw małego konstruktora. Jest szczęśliwa, potrafi! Przedszkolanka rozmawia ze stróżem.

Cały pokój zabaw Klara ma tylko dla siebie – mnóstwo szczęścia, równego, kudłato-brązowego jak wykładzina na podłodze, po której Klara turla się tam i z powrotem. Stróż podtyka Klarze kwadracik Petit Beurre i pozwala pić kompot, ile tylko chce. Klara sama postukuje łyżką wazową w aluminiowym garnku, wyławia spuchnięte blade rodzynki.

Teraz Klara robi na dywanie fikołki, pławi się w szczęściu – nie chce wracać do domu.

„Co jest do jedzenia?” – pyta na okrągło Klara swoich czterech braci.

Klara jest strasznie żarłoczna, jest naszą siostrą tylko w połowie, lecz je za czterech.

„Co jest do jedzenia?”

„Daj nam wreszcie spokój” – mówi pierwszy. Jest chleb, skwarki, stoi w kuchni całe wiadro buraków.

„Ale ja bym chciała coś smacznego, coś niezwykłego”.

„Na przykład?” – pyta drugi.

„Faworki” – wtrąca trzeci. To pachnące słodko marzenie, które codziennie zwodzi zmysły Klary, przecież tuż obok, po sąsiedzku, piękna wykształcona pani nauczycielka smaży je każdego dnia.

„Ja też chcę faworki. Zrób nam faworki!” – prosi czwarty.

„Jestem z was najstarszy i zadbam, żebyśmy mieli chleb, ale nie umiem smażyć faworków. Namocz sobie, Klara, w kubie kromkę chleba, posyp cukrem i będziesz mieć coś smacznego i niezwykłego”.

„Ale przecież nie mamy w domu cukru, przecież nigdy nie było u nas cukru” – dziwi się Klara.

„Jest schowany” – mówi najstarszy. „Czasem przynosimy, kradniemy” – dodają dwaj środnicy.

„To ja już biorę kromkę, moczę, sypię cukrem i jeszcze przycisnę, żeby się jak najwięcej przylepiło” – mówi najmłodszy.

Zapomnieliśmy ci powiedzieć o cukrze, Klaro, bawiliśmy się i zapomnieliśmy.

Dokąd się tak spieszysz, Klaro?

Rysuję i przerabiam.

„Moi chłopcy, moi chłopcy...” Klarę mdli od tych chłopców – baby, nie chłopcy. Na swoich rysunkach dorysowuje braciom brody i warkocz – grube, ciężkie, do samej ziemi! O, proszę!

Starszy na krzywym koniu z długim warkoczem przerzuconym przez ramię, drugi i trzeci w wędkami, moczą nogi w stawie, a złote pukle wiją im się do samego nieba.

– „A macie! Dobrze wam tak!” – mówi Klara.

Drugi i trzeci zostawili ją w lesie. Na noc, ośle.

Matki nie było w domu, najstarszy wziął najmłodszego do dentysty. Drugi i trzeci poszli do lasu szabrować sok brzoźowy, a Klara poszła za nimi.

Pochodzili po brzezynie, znaleźli wśród śmieci kilka baniaków z sokiem, napili się do syta i zapamiętali miejsce. W drodze powrotnej, kiedy słońce osuwało się ku ziemi, znaleźli widną polanę, na której stały bele słomy, ustawione w trzy olbrzymie piramidy. Wdrapali się na samą górę, zwinne lisiątka, hasają, baraszkuje, zrzucają bele na dół, zeskakują, Klara udaje, że jest lisem, znalazła szczelinę, udało jej się wcisnąć między bele, lecz utknęła w środku. Bracia pośmieli się z niej, poskakali jeszcze chwilę po belach. Potem coś ich przestraszyło. Zeskoczyli, uciekli, zostawili Klarę.

Słońce zachodziło za lasem – nie widziała żółtoczerwonego nieba, przez trzy godziny wpatrywała się w słomę: żółtą, brązową kolankowatą, błyszczącą jak złoto, miedzianą, wilgotną, miękko niebieską, zasmarkaną, zaślinioną od płaczu.

Klaro, dość. Nie płacz, jesteś lisem, lisem, który utknął w norze...

Klara jest lisem, który utknął w szczelinie, lis mówi: cicho, serce, milcz, nasłuchuj, jak szczekają psy, nasłuchuj, jak straszne psy kłapią zębami, ujadają pod lasem, biegną sforami na napiętych smyczach, lecz zaraz będą spuszczone...

lis oddycha głęboko, bierze głęboki, jak najgłębszy oddech, potem szybko wypuszcza powietrze i wyskakuje na wolność.

„Ciągłe tylko chorujesz i chorujesz” – złości się matka.

Piwo żygoułowskie z roztrzepanym żółtkiem ma metaliczny posmak. Szklanka puszystego marzenia, niemalże rozpuszczonych lodów kakaowych, ale pachnie żelazem, opatrunkami, szpitalem.

„To najlepszy lek na anemię, a na gardło też pomoże” – mówi do matki Klary sąsiadka o cerze jak guzkowata szyba.

„Jak mi kupisz słońca, to wyzdrowieję” – przysięga cichutko Klara. Dużego, miękkiego słońca do przytulania.

Klara mości sobie z koldry gniazdko i zasypia, ciepła, skulona krewetka w wielkim, szarym uchu słońca.

Klara leży w szpitalu. Na sąsiednim łóżku kaszle wronie pisklę, zdaje się, że kaszel rozerwie je na kawałki. Do wroniego pisklęcia codziennie przychodzi matka i siostra. Siostra jest ołśniewająca. Nie, poważnie, przez tę siostrę nikt nie zauważa wroniego pisklęcia, może sobie chorować nawet mocniej. „Jaki warkocz! Jakie włosy!” – każdy, kto zagląda do sali, od razu ją zauważa. Pielęgniarki, lekarze, salowe – wszyscy wołają „Jaki warkocz!” A matka dziewczyny z warkoczem odpowiada zawsze tak samo: „Nafta i szare mydło, nafta i szare mydło”.

Ta nafta i szare mydło doprowadzają Klarę do szafu. Klara leży na sąsiednim łóżku, codziennie widzi profil wielkiej siostry – lalki o szerokich policzkach i wyдутych ustach, która stoi zawsze bokiem do Klary i nigdy nie zagadnie do niej jednym słówkiem, a jej ciężki warkocz spleciony z grubych pasm sięga za kolana, kokardą zahacza o rąbek spódnicy, nafta i szare mydło.

„Co za warkocz!” – woła już w drzwiach matka Klary, kiedy wreszcie przychodzi do szpitala, bez powitania, bez Dzień Dobry, i Klara nie wytrzymuje: „Nafta i szare mydło”, piszczy cienkim głosem Klaruni i natychmiast przerażona oblewa się pąsem – czyżby powiedziała to na głos? Matka rozmawia z pielęgniarką, która chce jak najszybciej naskarżyć na braci leżących w sali dla chłopców. Klara patrzy na dziewczynę z warkoczem, dziewczyna z warkoczem patrzy na Klarę. Niebieskie oczy, bezmyślne, wielkie, puste, przysysają się jak pijawka do zaczerwionego miejsca między oczami Klary.

Najstarszy usmażył Klarze i braciom kielbasę, wbił jaja, tyle, ile znalazł. Klara mówiła, że kielbasa jest zielona, ma niekielbasiany wygląd, ale powiedział, że ogień wybije wszystkie bakterie. Powiedział i wściekły wyszedł z domu, sam do ust nie wziął.

Teraz Klara i trzech bracia leżą w szpitalu.

Już odzyskali siły i ganiają się po korytarzach, zaglądają do sal, urządzają sobie przejażdżki windą. Wkurzony dziadek robi im wykład, chłopcy naciskają mu w windzie guzik do piwnicy, wyskakują z windy i pokładają się ze śmiechu: do kostnicy, posłaliśmy dziadka do kostnicy.

Klara dość ma już tych durniów.

Odkrywa salę, gdzie trzech wesołych panów pali papierosy. Starszy otyły facet z wielkim nosem rozmawia i rechocze tak głośno, że Klara zatrzymuje się przy uchylonych drzwiach. „Wejź, dziewczynko, mamy cukierki”. Na stoliku przy łóżku rzeczywiście leży torba słodyczy, tak wielkiej Klara jeszcze nie widziała. „Częstuj się, bierz całą garść, nawet trzy, w obie ręce” – zachęca starszy facet i cały czas rechocze. Mężczyzna w niebieskiej pidżamie z rurką w szyi rzezi w smugach dymu. „I zamknij za sobą drzwi” – mówi inny z wysoko uniesioną, obandażowaną nogą, którą Klara widziała z korytarza. Facet z wielkim nosem śmieje się, obie nogi ma odcięte powyżej kolan – na jedną ma naciągniętą skarpetę, druga jest owinięta świeżym bandażem. „Chcesz zobaczyć, dziewczynko? Chodź, zobacz sobie, już, już było lepiej, ale weszła gangrena i odcięli, znów chwilę

było lepiej, ale i drugą obcięli – zobacz, a może usiądziesz na kolanka” – chichocze i odchyła szlafrok.

„Nienormalni” – mówi Klara i rakiem, jakby się bała, że beznogi złapie ją od tyłu, wychodzi, ściskając w dłoni owinięte w śliskie, szeleszczące papierki słodycze, które wysuwają jej się między palcami.

Rzuca słodycze na stolik dyżurnych pielęgniarek i ucieka do swojej sali.

Tak naprawdę Klara bardzo bardzo, bardzo zazdrości wroniemu pisklęciu! Klara także chciałaby być matką wroną o cieniutkiej szyi, stąbnych włoskach i chorować na śmiertelną chorobę!

W nocy budzi Klarę kaszel wroniego pisklęcia. W półmroku szpitalnej sali jaśniej wielka biała góra – dyżurna pielęgniarka tuli w miękkich ramionach świszczące wronie pisklę, kołysze je i mamrocze coś uspokajająco. Klara nie śpi, ma szeroko otwarte oczy, spija to białe światło – chciałaby napętnić nim oczy. Klara leży w ciemności, stara się płakać bezgłośnie. Nie może oderwać oczu od wielkiej jasności, w której miękko się umościł i charczy czarny robaczek.

Oddychaj, Klaro, oddychaj.

Klara tyka łyk, każdej nocy tyka ciężkie ogromne szklane łyk.

○ świecie wymiotuje krwią.